

Przedruk ze strony: <http://www.eioba.pl/a/3rhu/nos-mnie-do-konca-swoich-dni>

[Drukuj pracę](#)

Noś mnie do końca swoich dni

Opowieść ni to anty-, ni to prorodzinna.

Gdy wróciłem tego dnia do domu, nie wiedziałem jak zakomunikować Annie to, co powinienem był zrobić już dawno temu. Wiedziałem jedno: muszę to zrobić dziś; dziś albo nigdy. Przecież właśnie na to czekała Marlena; czekała już tak długo. A przecież nie mogłem zawieść Marleny!

Na stole czekał obiad – jeden z błogosławionych owoców miłości Anny. Czekał niczym soczysta, dojrzała truskawka, nie oczekująca śmietanki czy szampana, a tylko zanurzenia w ustach. Tyle że ja przywykłem do niej jak do przejrzałego, od środka przegniłego jabłka.

Zasiadłem do niego w ciszy, popędzany wizją dojścia do ogryzka – nikomu nie potrzebnej, nędznej pozostałości naszego związku.

Anna krzątała się w kuchni; przez cały obiad czułem na sobie jej wzrok. Unoszony rytmicznie metalowy widelec zdawał się odbijać jej równie metaliczne spojrzenie. Spojrzenie skupione na mnie. Nawet nie musiałem się odwracać, by go doświadczyć. A właściwie, ona wcale nie musiała na mnie patrzeć – to patrzyły na mnie oczy mego sumienia. Boże mój! Jeszcze je miałem...?

Tak – czekała, że to ja odezwę się pierwszy.

Zdenerwowało mnie to.

Po skończonym posiłku, ciężkie nogi podniosły mnie od stołu, umieściły w okolicy zlewu, po czym nakazały ustom wypowiedzieć wyuczoną formułkę: *“Chcę rozwodu”*. Spodziewałem się co prawda usłyszeć sztuczny ton, lecz nie podejrzewałem, że całość wypadnie aż tak machinalnie.

Tak czy inaczej, dawałem głowę, że Anna wpadnie w furję albo przynajmniej wydrze mi się prosto w twarz: *“Ty w ogóle nie jesteś mężczyzną!”*.

Ale nie...

Zamiast tego, stała tam nadal, nie przerywając swych zwyczajowych czynności.

I to ostatecznie utwierdziło mnie w słuszności mojej decyzji.

Bo Anna zmywała.

Tak – trywialnie, pospolicie, najzwyczajniej w świecie i ignorancko w stosunku do mojej osoby, chcącej zakomunikować jej chyba coś ważniejszego niż higiena tych głupich garów, które musiały być czyste akurat tu i teraz. Nie zauważyłem nawet, żeby jej choć drgnął jakikolwiek organ czy narząd nie związany z czynnością zmywania.

Bo ona zmywała!

ZMY-WA-ŁA!! Dacie wiarę!?

I już miałem wychodzić, odciążony wiszącym nade mną obowiązkiem, gdy nagle, między kubkiem, a talerzem, obróciła do mnie twarz i cicho, a nawet jakby ciepło spytała:

– *“Dlaczego”*.

??

Dlaczego!?

I Ty się jeszcze pytasz «dlaczego»?!

I to mnie jeszcze bardziej rozzłościło.

Więc ona tak tam stała z pytającą miną i pozą, i ja też tam stałem. Lecz z każdą kolejną sekundą, trwająca cisza niespodziewanie zaczęła działać na moją niekorzyść, niczym zegar szachisty naciśnięty przez nacierającego oponenta, który - będąc na niedoczasie - musi swój następny ruch obmyślić i

wykonać pośpiesznie.

Jedynie co umiałbym wtedy z siebie wycisnąć, to zwykłe, jeśli nie prostackie “*Straciłaś moje serce na rzecz Marleny – cudownego stworzenia*”. Jedynie to. Ale nie wyciskałem nawet tego z siebie, bo i po co. Więc nadal tam stałem. Stałem i - czując się niejako przymuszony do choć trochę cywilizowanej odpowiedzi w swej formie oraz treści - nie znajdowałem niczego odpowiedniego, niczego ...godnego. Godnego?

Nie – wtedy jeszcze nie myślałem kategoriami, którymi miałem myśleć już za równy miesiąc.

Tak czy inaczej, stałem tam, przymuszony bardziej wymogiem trzymania się etykiety i rzekomego dobrego wychowania, niż w związku z rzeczywistą empatią wobec tej chodzącej z wymarką, tej smutnej, żałosnej postaci, którą miałem przed sobą w całej jej kuchennej krasie.

No dobra, powiem!

Powiem – niech już ma; w końcu trzeba coś powiedzieć:

– “*Bo tak.*” – wzruszyłem ramionami – “*Bo już Cię nie kocham.*”

Powiedziawszy co moje, odbiłem się biodrem do biału i pośpiesznie wyszedłem do siebie.

Wyszedłem?

OK, schowałem się – tak lepiej?

Przez resztę wieczoru nie odezwaliliśmy się do siebie. Do Jasia poszliśmy oddzielnie, choć normalnie, pojedyncze «dobranoc» miało miejsce tylko w wyjątkowych sytuacjach.

W nocy słyszałem jak Anna cicho popłakiwała.

Oczywiście, iż wiedziałem, że jedyne, na czym jej teraz zależało, to wiadomość ode mnie, choć okruchy informacji: «co stało się z naszym małżeństwem». Ale – tak jak tam, przy zlewie, tak samo później, w ciszy nocy i sumienia, nie umiałem jej odpowiedzieć; przynajmniej nie tak jak ona sobie tego życzyła. “*Bo już Cię nie kocham, słyszysz?*”

I to ma Ci wystarczyć.

Uгода

Jeszcze mniej szczegółów umieściłem w napisanym nazajutrz Sądowym Wniosku o rozwód. Tak, było mi szkoda Anny i tych jej dwunastu lat, które poświęciła mi i naszemu związkowi. Może nawet bardziej tych lat niż jej samej...?

Dlatego, w sporządzonej na kolanie propozycji Ugody Rozwodowej zrzekałem się domu, dopiero co kupionego samochodu oraz 30% akcji w mojej firmie. Szkoda mi jej było, niech więc ma po mnie chociaż to.

Ale ona - przeczytawszy treść ugody - gwałtownie podarła papier i rozruciwszy jego kawałki wokół siebie, pobiegła do swego pokoju. Tym razem nie płakała – łkała ciężkimi kroplami i całą sobą; jak nigdy dotychczas. Takiej nie znałem jej wcześniej. I ten jej płacz, paradoksalnie, przyniósł mi ulgę. “*Przecież to zupełnie obca, nieznaną mi osoba!*” – przekonywałem i uspokajałem się na przemian. Tak, «nieznajoma» – ten wyraz ostatecznie ukoił ból mego sumienia.

Gdy wróciłem z biura, Anna wyglądała już na opanowaną. Siedziała nie jak zazwyczaj przy kuchennym stole, lecz przy sekretarzyku i szybko coś pisała. Gdy, znad stronicy gęsto wypełnionej zgrabnym pismem, podniosła na mnie wzrok, jej oczy płonęły i miały w sobie ten dziwny, zupełnie dla mnie niezrozumiały spokój. I jakby w dowód swej pełnej przytomności umysłu, szybko wróciła do pisania. A pisała zachłannie, to fakt.

Oblał mnie dreszcz niepokoju, równie niezrozumiałego co jej stan.

Wieczorem wszystko się wyjaśniło:

W swej pisemnej odpowiedzi, bez ogródek informowała mnie, że nie przyjmuje ani domu, ani firmy; zabierze ewentualnie tylko co bardziej niezbędne rzeczy. Stawiała mi też jeden warunek: miesięczny okres wypowiedzenia. W jego trakcie, ze względu na syna i jego zbliżające się zawody, mieliśmy prowadzić normalne życie. To znaczy «normalne» na tyle, na ile to będzie możliwe.

Owszem – na to mogłem pójść dla naszego Jasia.

Choć właściwie, warunki były dwa.

Drugi objawił mi się gdy dojechałem do następującej linijki:

“Pamiętasz jak w dzień ślubu wniosłeś mnie do naszej sypialni? Chciałabym, żebyś przez ten miesiąc robił tak samo, codziennie, tyle że na odwrót: z sypialni do drzwi wyjściowych”.

Musiałem wrócić do początku zdania i przeczytać je jeszcze dwa razy, by zrozumieć co czytam.

Tak – szczerze myślałem, że oszalała. Lecz po namyśle i na ten warunek przystałem – może dzięki niemu Jasio nie odkryje prawdy przed zawodami...?

Jeszcze wieczorem, będąc w odwiedzinach u Marleny, powiedziałem jej o dziwacznym warunku jeszcze mojej prawowitej żony. Śmiała się z niego głośno, jakby szyderczo. Podzielała też moje zdanie, że to jakiś absurd. Kochana Marlenka – chociaż ona mnie rozumiała!

I tylko gdy już byłem w drzwiach (musiałem przecież wrócić do domu – co by sobie Jasiak pomyślał), dodała zaborczym, trochę zdławionym głosem:

– *“Bez względu jakie sztuczki ta wariatka zaplanuje, i tak będzie musiała stawić czoła temu, że Ty od niej odchodzisz”* – i pociągnęła mnie za krawat, a ja wylądowałem przy jej ustach. Nigdy tego wcześniej tak gwałtownie nie zrobiła. Jednak wtedy o tej gwałtowności zapomniałem; może nie widziałem – jej usta pachniały niezapominajkami, to fakt.

Musiałem jednak wrócić; od jutra zaczynało się “noszenie”.

Co za bzdura!

A opuścić ramiona Marleny nie było łatwo...

Start i falstart

Już od dłuższego czasu nie mieliśmy z Anną żadnego kontaktu fizycznego, więc w pierwszy dzień noszenia, cała operacja wypadła bardzo sztucznie. Oboje byliśmy spięci i niezgrabni.

Biorąc ją na ręce, starałem się uciec od jej penetrującego wzroku. W efekcie, gdy wziąłem jej ciężar na siebie, jej źle wyważona wzrokiem postura lekko mną zachwiała. Ale Anna nie skomentowała tego w żaden sposób, tylko przez całą drogę patrzyła mi w twarz. Jesteśmy w pokoju głównym – ona patrzy. Idziemy dłużącym się korytarzem – ona wciąż się patrzy.

Czego ona chce!?

Gdy stawiałem ją w progu, kipiałem z poirytowania. Nie dałem jednak tego po sobie poznać; zza węgła zerkał przecież zdumiony całym wydarzeniem Jaś. Anna pierwsza wypełniła powstałą pustkę, dziękując mi na głos. Ja zaś, gdzieś w środku, dziękowałem jej za to, że demonstracyjnie mnie nie pocałowała. Chociaż na tyle była jeszcze taktowna...!

W drodze do firmy, zahaczyłem o adres Marleny.

– *“I co? Zaczynasz wyrabiać sobie mięśnie?”* – zażartowała z progu, a minki diablicy nie musiała specjalnie przybierać – ona ją po prostu miała.

Nasz seks był tego dnia również diabelski; miałem wrażenie, że moja pani jest bardziej uwodzicielska niż poprzednio, a jednocześnie, że gra na nieociosanych, jakby wulgarnych nutach. Ale podobała mi się ta nowa Marlena.

Drugiego dnia, swój obowiązek spełniłem trochę zgrabniej, nadal jednak nie spojrzałem Annie w oczy, bo i po co. W zamian, patrząc w bok, napotkały mnie oczy małego obserwatora, nie mniej zdumionego

niż wczoraj, przyczajonego w progę swego pokoiku. Tym razem jednak, spod chmury jego zdumienia przeszły promyki zadowolenia. No dobra, niech będzie: niech mały ma radochę; chociaż tyle jego.

Trzeciego dnia wypadał weekend, powiało mi więc nadzieją, że to durne noszenie możemy sobie podarować. Ale żaden ruch czy gest Anny takiego zamiaru nie zdradzał. Gdy bezwiednie spojrziałem w stronę uchylonych do jej pokoju drzwi, widać było jak się ubiera, wykonując zwyczajowe, tak dobrze mi znane ruchy. Targany wątpliwościami, bez celu kręciłem się przy lodówce. Okej, nie bez celu: miałem stamtąd dobry widok na jej pokój – tak lepiej?

I rzeczywiście: wyszła chwilę potem. Ubrana była, jak zwykle, schludnie i czysto, jakby trochę odświętnie, i jak zwykle, swoją gotowość do noszenia oznajmiła swym codziennym, stonowanym i nie wiedzieć czemu ciepłym *“Już”*.

A moje rozdrażnienie podjudził jeszcze bardziej ten mały, kłopotliwy obserwator, przyczajony tam gdzie zwykle. Tym razem, jego oczy wyrażały płomienne szczęście, choć nadal z chmurką niedowierzania.

W dzień piąty, Anna użyła nowych perfum. Choć nie – powinienem nie tyle powiedzieć «nowych» w pojęciu nowoczesności, bo te były w sumie dość toporne, ale nowych w sensie «nigdy dotąd nie używanych». Pamiętam, że przemknęło mi przez myśl: *“Ciekawe dla kogo się tak spryskała”*.

Tak, owszem – szukałem na to pytanie odpowiedzi. To znaczy zacząłbym szukać, gdyby nie rozsierdził mnie mały gnojek, który wyskoczył ze swego pokoju, popiskując cienko i nieznośnie:

– *“Tatko nosi mamcię! Tatko nosi mamcię!”*.

Kipiałem, to fakt.

To ona go do tego namówiła; dałbym za to głowę. Tak napuszczać dziecko – wstyd, żono! Ale, ale – jaka żono? Ha! Już niedługo, tylko cztery tygodnie tego pajacowania i jestem wolny! Słyszysz? Wolny jak ptak!

Słyszysz?

Zobaczysz!

Nie, synu – to tylko taka zagrywka mamy, bo tak naprawdę my się rozwodzimy. Chociaż... Niech się chłopak cieszy; jeszcze się przez nas nacierpi.

Przepraszam, synu.

W siódmy dzień, znów poczułem te same perfumy. Ale tego dnia wywołały one we mnie jakąś dziwną, choć oddaloną sensację, by w dzień ósmy przekształcić się w coś na kształt jakby oddalonego, nieznanego mi już wspomnienia.

W dzień dziewiąty, z lekkim zdziwieniem (jeśli nie niepokojem) zauważyłem, że te perfumy - choć, owszem, nadal trochę smrodliwe - jakby zadomowiły się w moich kościach. Co jest!?

W dzień jedenasty, musiałem przyznać, iż - choć są nadal te same - pachną delikatniejszym tonem, jakby mniej pospolitym. Zaś dnia trzynastego, były już dla mnie nawet przyjemne.

Co jest!?

No i właśnie – nie wiem po co i dlaczego pozwoliłem sobie wtedy na ten mały, minimalny uśmiech, a właściwie nie tyle uśmiech co zwykłe rozluźnienie czoła, podczas noszenia zazwyczaj napiętego.

Ale to widocznie Jaśkowi wystarczyło, gdyż wieczorem tego dnia, usłyszałem jak podczas czytania bajki-dobranocki, przerwał swej mamie w pół słowa - a nigdy wcześniej tego nie czynił - i rzekł poważnym tonem, niczym prawnik, szczerze zatroskany czy jego klient dobrze rozumie warunki umowy:

– *“Ale tatuś lubi Cię nosić, mamusiu – wiesz?”*.

Wcale nieprawda, gówniarzu! Słyszysz?

To jest NIEPRAWDA!

Od dnia piętnastego, Anna zaczęła zakładać mi swe ramię na szyję, a od siedemnastego opierać się na mojej piersi. Pamiętam, że przemknęło mi wtedy przez myśl, że o ile my, faceci, bywamy prostacy, to

kobiety są prymitywne. Te objęcia, przytulenia, perfumy... Takie tanie zagrywki – ha! Wiedziałem już dobrze, że to dla mnie tak się pachniała; nigdy przecież nie nosiła mocniejszych perfum, a do pracy zawsze szła nie spryskana. A może... Czyżby ona coś...?

Marlena potwierdziła, że ona na pewno coś, bo “jakżesz inaczej”. Tyle że ona miała na myśli zupełnie co innego niż ja...

Marlenie przytaknęła akurat rezydująca u swej przyjaciółki Gośka.

Gdy zbierałem się do wyjścia, Marlena sięgnęła do lodówki po butelkę wina. Widząc mnie patrzącego na Goškę, rzuciła z udanym zdziwieniem, zresztą udanym na miarę mizernego aktorki:

– “Co, nie zostaniesz?”

Jej sugestię poparła Gośka:

– “*Posiedź jeszcze*” – i wykonała ręką zapraszający, dla odmiany całkiem naturalny gest.

Już miałem odmówić, ale Marlena pociągnęła mnie za krawat; chyba jeszcze intensywniej niż ostatnio. Zostałem.

Przez większość wieczoru, moja nowa kobieta odgrywała rolę mojej starej kobiety – niby niewinnej w mowie i czynie, lecz ukrywającej przede mną swoje rzekome schadzki, no i podwójne życie, oczywista. Starła się jak mogła i ile umiała, a umiała raczej niewiele, choć zaparcie miała – przyznam – spore.

Ja więc się śmiałem.

Z kolei Gośka, choć początkowo niechętnie, za namową mojej nowej kobiety wcieliła się w nowego faceta Anny. Chyba po trzeciej lampce, zaczęła być w swej roli świetna.

Więc się śmiałem.

Co zaś do Marleny, odgrywana przez nią postać nabierała coraz większej werwy, ale i zarazem wsiowości. Bo Anna taka z pewnością nie była.

Ale też się śmiałem.

Jednak z całego wieczoru, podczas którego bawiłem się notabene raczej kiepsko, zapamiętałem tak po prawdzie tylko jedno jedyne zdanie, rzucone niedbale przez Goškę, gdy po skończonym przedstawieniu wróciła w swój żeński krój. Oto na moją sugestię, że “fajne te Wasze wygłupy były, ale tak na serio, ja Anny nie podejrzewam”, Gośka wyrzuciła z siebie jedno krótkie zdanie. I pewnie nie zwróciłbym na nie takiej uwagi, gdyby nie to, że wyglądało ono nie tyle na próbę przekonania mnie, co na zbyt rozpędzoną myśl, która wyslizgawszy się z głowy, wypadła na zewnątrz na świeżym lodzie języka:

– “*To jeszcze nas nie znasz...*”

Ich jaszczurczy chichot słyszałem jeszcze na klatce.

W ringu

– “*Tatko nosi mamcię! Tatko nosi mamcię!*”

Gdyby nie te słowa, które padły następnego, osiemnastego dnia noszenia i mnie uprzedziły, z pewnością zagadnąłbym Annę o te jej perfumy; na pewno zrobiłbym coś z zasianym we mnie nasionem powątpiewania. A tak na marginesie, choć dobrze wiedziałem kto je tam posiał, nie wiedziałem kto je tak sumiennie podlewał.

Sumiennie – taak, to było dobre słowo...

Fakt faktem, nasiono było gotowe do kiełkowania – tylko podlewać. Chociaż jak podlewać, skoro “fajne te Wasze wygłupy, ale ja Anny nie podejrzewam” jeszcze brzmiało mi w uszach.

Ale dnia dwudziestego przełamałem się. Przełamałem się, by uderzyć z kontrataku na coraz bardziej dokazującą perfumami i gestami koleżankę małżonkę.

A dlaczego się przełamałem?

Hmm, może tak z okazji okrągłej, XX-tej rocznicy...? No, raczej dnicy.

Wiem, zacząłem lekko świrować – no, kto tak podlewa...?

Musicie wiedzieć, iż nasza poranna, codzienna operacja trwała wszystkiego nie więcej niż dziesięć sekund. Ile więc można sobie w jej trakcie powiedzieć?

Jednak tego dnia uznałem, że jeśli już dokazujemy, jeśli już pajacujemy, to nie bezproduktywnie i nie bez urozmaiceń.

Pograjmy więc, droga Anno!

Pograjmy, bo ja lubię i zawsze lubiłem wprowadzać elementy gry do swojego życia tam, gdzie tylko się dało. Miałem też przeświadczenie, iż odzywając się do niej, wykonam miły gest w stronę swej jeszcze prawowitej małżonki, już nie mówiąc o tym, że wypełnię jakimś przyjaznym słowem tę martwą ciszę, tak krążącą po jeszcze naszym wspólnym domu jak smród krążący po gaciach. Przecież miało być «w miarę normalnie» – czyż nie?

No więc idę nieść, w dłoniach zawijam już rękawy, w myślach zacieram ręce, Anna właśnie wypowiada swoje “Już”, ja już mam otwierać usta do “Ja wiem, że kogoś masz“, a tu co?

A tu ktoś krzyczy mi w ucho: “fajne te Wasze wygłupy, ale...”

Nic z mego planu tego dnia nie wyszło, to fakt.

Tyle tylko mojego było, że wynosiłem i Annę, i to nasiono – nasiono nieufności, powątpiewania i niewiary. Zasiane tak niedawno, a było już jak wielka bulwa, nabrzmiała, gotowa do przepikowania. Albo raczej guz, tyle że jeszcze niegotowy do wycięcia.

Ale następnego, dwudziestego pierwszego dnia, przełamłem się gruntownie i do głębi, i zanim jeszcze nie zdążyłem roztrząsać kto tak podlewa moją gotowość do szukania w Annie nieistniejącego w niej fałszu, zanim nie zacząłem dociekać skąd bierze się we mnie ta chęć do usprawiedli...

– “*Tatko nosi mamcię! Tatko nosi mamcię!*”

Oczywiście tego dnia również nic z mojego planu nie wyszło.

Gdy, umęczony fizycznie i psychicznie, stanąłem tego wieczora w drzwiach Marleny, ta nie dostrzegła w jakim byłem stanie. Być może nawet nie spojrzała na mnie – od razu przytknęła mi do nosa wygięty nadgarstek:

– “*Prawda, że zmysłowe? Prawda?*”

– “*Tak, prawda.*”

Nie zdejmując nawet marynarki, opadłem w fotel. Tylko z obowiązku rzuciłem wzrokiem na podetknięty mi pod oczy, ponoć teraz modny flakonik.

– “*Podobają Ci się, prawda?*”

I co ja mogłem jej odpowiedzieć?

Mało się nie zakrztusiłem, bo ostatnio tak ostrą woń poczułem w stajni, gdy koń siostry puścił mi gazy prosto w twarz.

– “*Ładne.*”

Że pomogła Ci je wybrać Gośka? To wspaniale, kochanie – to wspaniale. Że Gośka też uważa jej zagrywkę za głupią i prostacką? Ja też, kochanie – ja też. Pozdrów ode mnie Gosię gdy znów się spotkacie. Że co? Że w którym butiku była promocja? Ach, tam...

Ach, taak...

Podtrzymywanie konwersacji szło mi chyba dzielnie, nie dotrwałem jednak dalej niż do chyba trzeciego butiku; musiałem przecież wracać na ...który to już dzień noszenia? Dwudziesty drugi? A może dwudziesty? Straciłem chyba rachubę, do cholery, choć sobie obiecałem, że do końca swej 30-dniowej katorgi będę odliczał każdy dzień. Fała do wolności – tylko o tym marzyłem, tylko tymi kategoriami myślałem.

Chociaż...

Czyżby?

Flakonik prawdy

– *“Całkiem ładny ten nowy zapach.”* – wydusiłem wreszcie z siebie dnia dwudziestego trzeciego, niosąc Annę przez korytarz.

Wreszcie, hurra!

I jak się tego spodziewałem, jej podziękowanie było zdawkowe.

Acha, mam Cię! – triumfowałem.

Oczywiście, że na wyrost.

Oczywiście, że na pokaz – pokaz swej nędznej duszy.

I właśnie wtedy stało się TO.

A stało się, bo mi nagle tej naszej małej konwersacji było za mało. Jak już pajacujemy, to nie bezproduktywnie! Pograjmy więc, droga Anno!

No więc przybrałem tę swoją niewinną minkę i dorzuciłem te swoje zaczepne, te nieszczęsne, te arcytępe pytanie, godne tylko ostatniego kiepa:

– *“A jak się nazywają?”*

Odpowiedź Anny mnie zmroziła, to fakt.

Fortele, pajace i dziecinne podchody w ułamek sekundy poszły się j***ć.

Jak mogłem zapomnieć?

JAK MOGŁEM!?

Czyżby aż tak ułomna była ludzka pamięć zaznanej kiedyś intymności, żeby nie skojarzyć zapachu pierwszych perfum swojej żony, swojej - bądź co bądź - ukochanej??

Moja niepamięć była jak policzek. Ale był to policzek nie tyle w stosunku do niewydolności rdzewiejącej z latami pamięci, co skostnienia mojego ducha, najwyraźniej tak haniebnie zatraconego, zanikłego przez te lata jak nieużywane mięśnie. Te lata... No właśnie – jakie lata? Lata sztampy? Lata przyzwyczajenia?

Aż tak odległy stał się dla mnie tamten czas? Aż tak nieważny??

Boże mój...

Następnego, dwudziestego czwartego dnia, po raz pierwszy nie odwróciłem na bok głowy, a odważyłem się patrzeć przed siebie. Anna, jakby wyczuwając moją potrzebę patrzenia na wprost i szanując moją osobistą w tym patrzeniu przestrzeń, sama spoglądała w stronę wyjścia. Tego więc dnia, po raz pierwszy, mogłem swobodnie, choć ukradkiem, rzucić na nią okiem. I dopiero wtedy dotarło do mnie jak inną była kobietą. Jakże inną była ta kobieta, którą nosiłem zaledwie od kilku tygodni, a która jest ze mną od tylu lat.

– *“Eee tam, co za niedorzeczność!”* – ktoś podlał mi do ucha.

Halo, kto tam!?

Odpowiedzi było brak – wróciłem więc do poprzedniej myśli:

Że «niedorzeczność»?

Niee...

A jednak.

A jednak górę wzięło uczucie słabości, gdyż w puklu Anny dostrzegłem siwy włos, a pod jej okiem lekki zarys zmarszczki. I co najgorsze, to mnie - zamiast zrazić - zmiękczyło.

Dacie wiarę? Zmiękczyło!

Zmiękczyło, ale dlaczego?

DLACZEGO!?

Dopiero pod wieczór dotarło do mnie, że nie patrzyłem na tę kobietę uważnie już od dawna.

– *“A ja ją tak nosisz co dzień...”* - tego wieczora Marlina założyła na mnie nogi ubrane w krótszą niż

zazwyczaj mini - “...to patrzysz na nią? Co? Patrzycie sobie w oczy?”

– “No coś ty!” – odparłem na wysokiej, bliskiej jodłowania nucie, modląc się, by nie dopytywała czy moje zaprzeczenie tyczyło się obu pytań czy tylko jednego. A jakby tego zapewnienia było mało, swoją orację - brzmącą tak beznadziejnie i tak niepewnie jak nigdy dotąd - poparłem siarczystym klapsem na pupę.

Nigdy nie przywaliłem Marlenie tak mocnego klapsa, to fakt. A ona chyba tak nie lubiła, bo w trakcie seksu, szarpała się bardziej ze mną, zamiast się p*****ć.

W dniu dwudziestym piątym pojawił się jedyny już od dawna pozytywny aspekt noszenia: oto odkryłem, że od jakiegoś czasu niosło mi się Annę jakby lżej, jakbym nabrał od tej codziennej gimnastyki krzepy. No – pocieszyłem się – chociaż tyle mojego...

Ale już dnia następnego, tj. bodajże dwudziestego szóstego, bilans się wyrównał:

Czekając na Annę na swym stanowisku przy lodówce, zauważyłem, że dłużej niż zwykle przebiera w szafie. Najwyraźniej, żadna suknia czy spódnica jej nie pasowała.

To mnie trochę poirytowało. Akurat tego dnia trzeba było jechać do firmy wcześniej niż zwykle, a jeszcze Jasio do szkoły nie spakowany.

Tkwiąc przy podówce dobrą chwilę, już miałem sobie pojechać, lecz w tym momencie podszedł do mnie Jasio i z lekką przyganą rzekł:

– “Tato, już czas wynosić mamusię.”

– “Już idę, Słonko, już idę!” – Anna zawołała przez uchylone drzwi i zaraz wybiegła na korytarz; chyba w tym czym stała.

Dziś jednak przyjrzałem się jej lepiej i fakt faktem: spódnica, którą miała na sobie, była za luźna.

Nie wiem kiedy doniosłem ją do progu drzwi; przez całą drogę zastanawiałem się co się z nami stało. Albo nie – co się ze mną stało. Albo jeszcze inaczej: co ja jej zrobiłem. Co ja zrobiłem, że ta kobieta pochowała żywcem w swoim sercu tyle cierpienia i goryczy, a teraz tak to odpokutowywała. Długie dwanaście lat cierpienia...

Tak – moje przypuszczenia okazały się trafne: to nie dzięki mojej krzepie niosło mi się ją lżej...

Następnego dnia, już dwudziestego siódmego, doznałem olśnienia: jeśli Anna spędziła ze mną te ostatnie dwanaście lat, to oznacza, że jest dwanaście lat starsza niż w dniu ślubu.

Takie małe, niby nieistotne spostrzeżenie...

A całą resztę dnia zajęło mi dostrzeżenie faktu, że ta sama zasada dotyczy również mnie.

Nokaut

– “Tatko nosi mamcię! Tatko nosi mamcię!”

Czy wspominałem już, że dla Jasia, widok tatusia noszącego mamusię na rękach, stał się żelaznym punktem programu jego dnia? Co ja mówię – nie tylko dnia, a wręcz całego życia! Mówiłem już?

Aż szkoda będzie mu powiedzieć, że ta maskarada kończy się już pojutrze.

Przyznaję – dumny byłem z syna, a zarazem wdzięczny mu, bo to tego dnia, dzięki niemu, po raz pierwszy spojrzałem na Annę jakoś tak ...ciepło. Tak – to najlepsze słowo: **ciepło**.

Zresztą, jego gesty, ruchy i cała mowa ciała podczas tego miesiąca mówiły mi, że jest szczęśliwszy niż przedtem. OK, wtedy nie był szczęśliwy – teraz jest. Tak lepiej?

Ale on jeszcze nie widział tego, co działo się w długich godzinach między noszeniami. Tym bardziej żal zrobiło mi się naszego małego obserwatora... NASZEGO?

– “A co na to mały?” – spódnica Marleny po raz pierwszy nie zasłaniała właściwie niczego.

Przyznam, że nawet ona potrafiła czasami zadać inteligentne pytanie. Tylko czy - bidulka - miała tego świadomość...?

– “*Ano nic*” – odburknąłem – “*stoi i się patrzy. Chyba ma prawo być zdziwiony, co nie?*”
Oczywiście, że byłem zadziorny, bo czemu się, głupia, pytała a takie szczegóły?

Dzień przedostatni był od samego początku inny.

Najpierw odwiozłem naszego syna na wczesne zajęcia; musiał więcej ćwiczyć przez turniejem. Później, zaraz przed porą noszenia, zdenerwowałem się. Choć właściwie powinienem powiedzieć, że straciłem nad sobą panowanie. A powód tego był prozaiczny: oto wreszcie odkryłem kto tak podlewał tę moją niezłomną wiarę w to, że może ona jednak gra i tak naprawdę ma kogoś, dla kogo tak się stroi i perfumuje. Prawdopodobieństwo takiej ewentualności obliczałem co prawda na tyle samo co na wyhodowanie z pary łosi łososa, ale co tam – zawsze człowiek się poczuje lepiej, gdy może nosić w głowie to wyobrażenie, że inni ludzie są tyle samo warci co on sam.

A żeby było jeszcze śmieszniej, niosąc Annę przez pokój główny, usłyszałem jak wypowiada te słowa: – “*Czy nadal chcesz rozwodu?*” – spytała cicho.

Zlany niespodziewanym, zimnym potem, lekko mną zachwiało, jak pierwszego dnia.

Co za głupie pytanie! Czy ja nadal chcę rozwodu?

Oczywiście, że...

Od tego momentu, przez resztę trasy do drzwi wyjściowych ledwo mogłem poruszać nogami. Oczywiście nadal miałem utkwione w próżni.

Co za głupie pytanie – w duchu powtarzałem słowa Anny jak mantrę – może w nią uwierzę...?

Nie, nie mogłem jej teraz spojrzeć w twarz, bo jeszcze się rozm...

Co za mądre pytanie!!

Czy ja się przypadkiem nie ...nie rozmyśliłem??

Przez nikłą resztę naszej zwyczajowej trasy, trzymałem Annę - choć to nie było konieczne - mocniej; niosłem ją z większym uściskiem, ciało przy ciele, jak dawniej, jak kiedyś. Ale zamiast wykrzesać z tej chwili jakąś prywatność, może nawet intymność, poczułem tylko, że niosę osobę o wiele lżejszą niż w dniu ślubu. Owszem, intymność pojawiła się, lecz to co głównie poczułem, to był tylko ten jej mniejszy ciężar. I zrobiło mi się, zamiast intymnie – parszywie.

– “*No i dotarliśmy do końca...*” – zakomunikowała cicho, bez czekania czy nadal chcę rozwodu. Ja, oszołomiony, postawiłem ją w progu jeszcze zamkniętych drzwi.

– “*Dobrze się czujesz?*” – dotknęła swą chłodną dłońią mego rozpalonego czoła.

Tak, owszem – pomyliłem się w obliczeniach: to DZIŚ - nie jutro - był dzień ostatni.

Jak się czuję, pytasz?

Ha! Świetne pytanie!

Jak się czuję gdy mnie dotykasz?

Jak się czuję gdy ze mną jesteś?

Świetnie, świetnie się czuję.

No to świetnie...

Od tej chwili, dla odmiany, nie mogłem zdjąć z niej spojrzenia. Było łaknące. I nie mogłem odzłałować, że zdjęła ze mnie swoją chłodną, ale kojącą dłoń. Lecz nie miałem ani tyle odwagi, by poprosić ją o jasne i ostateczne zdeklarowanie się czy kogoś ma, ani tyle tupetu, by poprosić o położenie na mnie jeszcze raz jej cudnej dłoni. I niekoniecznie na czoło – gdziekolwiek, gdzie by tylko chciała.

Jeśli by nadal chciała...

W drodze do firmy, telefonem do sekretarki odwołałem wszystkie ranne spotkania.

Musiałem się z nią widzieć, po prostu musiałem.

Tak – po raz chyba pierwszy do wielu lat byłem dumny z siebie. Tzn. dumny w tym sensie, że po raz pierwszy od czasu jak zacząłem spotykać się z Marleną, stać było mnie na grę w otwarte karty z samym sobą i - co najciekawsze - z własnym sumieniem. Bo jedno i drugie, to było dokładnie to samo. Po raz pierwszy...

Acha, i również mogłem być szczery z tym, który podlewał.

Pukając natarczywie do drzwi Marleny, po raz pierwszy byłem dumny z samego siebie, z mojego zakłamanego, ufajdanego Mnie. Po raz pierwszy.

– “Co się dzieje, misiu?”

– “Nic. Wpadłem, żeby pogadać.”

Marlena starała się przysłaniać ledwo co rozbudzoną ze snu twarz na przemian dłońmi lub połamami szlafroka, ale i tak spod jej zasłon wyzierały zmarszczki. Nie obejrzałem ich dokładnie, ale stojąc tam, w progu, dawałem głowę, że były takie same jak te u Anny.

– “Nie rozwiodę się z Anną.” – zakomunikowałem chłodnym głosem.

Marlena opuściła wszystkie gardy i podeszła do mnie.

– “Bredzisz.” – zawyrokowała na wyrost, chyba nadal nie w pełni świadoma mego stanu – “Ty masz gorączkę.” – krzyknęła, gdy odjęła przystawioną mi do czoła dłoń. Owszem, była cieplejsza od dłoni Anny, ale bardziej obca.

– “Chcesz tabletkę? Może picia?”

Musiałem dwa razy powtórzyć jedyne zdanie jakie miałem jej do powiedzenia, by otrzymać porządny strzał w policzek, a potem jeszcze w podbrzusze.

Ze zniecierpliwienia od kilku dni klatki schodowej wybiegłem jak szalony.

Gdy jednak znalazłem się na ulicy, dopadła mnie próżnia: nagle dotarło do mnie, iż zupełnie nie wiedziałem, w którą stronę chcę iść. Wrócić do samochodu, tak zwyczajnie? Nieee, to by oznaczało powrót do starego życia, tego sprzed noszenia. Coś jak więzień po wieloletniej odsiadce, wychodzący pewnego dnia na wolność, nie wiedzący co ze sobą począć – tak ja tkwiłem tam, zamroczony swoją próżnią. Ha! Oni przynajmniej znają datę swego wyjścia od początku wyroku – ja jej nie znałem. Ale pomysł z sytuacją więźni okazał się być mi o tyle pomocny, że – stawiając się w ich położeniu – uznałem, że po długiej odsiadce, powinienem pójść po prostu do ...domu.

Do domu!!

Ale gnając ulicami jak ścigany, nie myślałem tylko o niej, nie. Nie myślałem nawet o szczęściu, którego tak gwałtownie dane mi było doświadczyć znów, dzięki niej; doświadczyć na nowo, po tylu latach. Bo to, co wtedy myślałem, było raczej antymyślami – myślami o tym, czym szczęście na pewno nie jest. A przecież to właśnie tym zajmowałem się przez ostatnie lata: szersze kontakty firmy, dalsze horyzonty - firmy, bardziej wypasiona chata - dzięki firmie, nowszy samochód - dla firmy, wyższe saldo w banku - firmowe, bardziej poukładane poukładanie - dzięki niej, tylko niej...

Do pobliskiej kwaciarni wpadłem jak po ogień.

Odpowiedź na pytanie kwaciarki “Jaką wiadomość napisać na bileciku?” mogła być tylko jedna: “Będę Cię nosił do końca mych dni”.

Dopiero za przedostatnim zakrętem oprzytomniałem na tyle, by zdać sobie sprawę z faktu, że Anny w domu nie będzie. Ale już nie zawróciłem; postanowiłem tylko zająć po świeżą koszulę i zaraz pognać z wizytą–niespodzianką do jej pracy.

Na naszej ulicy znalazłem się w pięć minut.

Podjazd blokowała jakaś ciężarówka, więc zatrzymałem się tuż przed nią, choć normalnie pewnie wyskoczyłbym z pyskiem do kierowcy. Na ganku minął mnie człowiek w kombinezonie firmy od wyprawek, niosący jakieś kartony. Wyminąłem go zgrabnie.

Wiem – nawet kretyń by się już domyślił, ale jeszcze nie ja.

Oprzytomniałem dopiero wtedy gdy w otwartych drzwiach wejściowych stanęła ona. Zdecydowanym tonem wydawała polecenia komuś wewnątrz.

Dostrzegła mnie dopiero wtedy, gdy wchodziłem na ganek. Musiała chyba zobaczyć upiora, gdyż prawie podskoczyła. Ale nie z powodu tego co właśnie wprowadzała w życie, co ucieleśniała za moimi plecami,

nie. To musiały być moje oczy, które tak ją przeraziły.

Jakże okrutny jest los... Okrutny, gdyż zaledwie 30 dni później, tym razem to ja pytałem cicho:
– *“Dlaczego?”*

Przyznaję – bardzo chciałem wiedzieć czy ona też tak wtedy przeżywała moje tłumaczenie. Zaraz – a czy wtedy, to było w ogóle jakieś tłumaczenie, czy tylko bąkanie małego, maluczkiego Mnie...?

– *“A co myślałeś?”* – Anna wyprowadziła mnie z letargu – *“Myślałeś, że ten miesiąc skończy się jak zwykle?”* – i dodała nokautujące: *“To nie bajka dla dzieci.”*

I gdy tak leżałem zбитy w narożniku najczarniejszej wizji swej przyszłości, ona dodała coś jeszcze. Wiedziałem, że na nią mogę liczyć. Że ją nie stać na zbycie mnie moim *“Bo tak”*. Kochana Anna...

– *“Ty nawet nie wiesz ile kosztowało mnie, by dać sobie szansę. By dać tę szansę Nam. Więc dawałam ją każdego z tych trzydziestu dni, zawsze na nowo; zawsze po to, żeby ponownie pokochać”* – przerwała; dławilo ją uczucie łkania – *“ale nie udało się. Nadal mam do Ciebie sentyment; kto wie – może to nawet miłość...?”*

Tu podniosła szklisty wzrok i spojrzała mi odważnie w oczy. Już wiedziałem co teraz powie.

– *“Ale gdzieś mi się zapodziało zaufanie.”*

Epilog

I właśnie dlatego, synu, tatko już nie nosi mamci. Nie nosi i już nosić nie będzie.
Rozumiesz, synu?

Rozumiecie?

Autor: Jacek Wąsowicz

Linkowanie do strony wydruku (tej strony) jest zabronione